

M A X
CZORNYJ

THRILLER, KTÓRY WAS UZALEŻNI.

TA KSIĄŻKA ZAPIERA DECH.

MOCNA I WSTRZĄSAJĄCA HISTORIA.

U W I E R Z J E J

FILIA

M A X
CZORNYJ

U W I E R Z J E J

FILIA

*Szczepanowi, twórcy fanpage'a
„Powrót Szczepana”. Jesteś wielki.*

*I see a little silhouetto of a man, Scaramouche,
Scaramouche, will you do the Fandango.*

Queen, Bohemian Rhapsody

„Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle”.

Mt 10,28 [w:] *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte
Starego i Nowego Testamentu*, Poznań 2003.

ODCINEK 1

1

Kiedy wpatrujesz się w trupa i jednocześnie słyszysz dzwonek do drzwi, oblewa cię zimny pot. Przynajmniej tak to powinno działać. U mnie od najmłodszych lat zaciął się jakiś zawór w mózgu albo w którymś z gruczołów. Nigdy tego nie analizowałam. Analizę moich defektów, ułomności oraz braków pozostawiłam innym. Tak zawsze było wygodniej. Po pierwsze, daleko mi do sadomasochizmu, po drugie, jeśli ktoś mógł poczuć satysfakcję z takich rozkminek, dlaczego miałabym mu ich odmawiać. Proszę bardzo, jeśli i wam przysparza radości ocenianie oraz diagnozowanie, róbcie to. Nie wahajcie się nawet przez chwilę.

W każdym razie, wracając do sedna, ponoć trup leżący u stóp może być stresujący. Ba, z pewnością taki jest. Z mojej perspektywy nie chodzi jednak o jakieś długofalowe konsekwencje, ale o tu

i teraz. Nie lubię problemów, zawsze usiłuję trzymać się od nich z daleka, lecz tym razem nie wyszło. Kropka.

Dzwonienie się powtórzyło. Choć to niezbyt dokładne określenie, gdyż kojarzy się z biciem przypominającym walenie chochlą w metalowy garnek. Tak brzmi większość współczesnych kosciołów. No bo czego się po nich spodziewać? Brzmią dokładnie tak, jak wyglądają. Do dupy. Zero romantyzmu, zero duchowości, zero piękna. Elektroniczne i architektoniczne pokraki.

Dzwonek do drzwi mojej lecznicy przypominał powtarzające się: „cik-cik-ti-ti-zi cik-cik-ti-ti-zi”. Głos rudzika. Jeżeli macie przyjaciela botanika i pasjonata ornitologii, wiecie takie rzeczy. A jeśli wiecie takie rzeczy, możecie się nimi chwalić, no nie? Chwalić się byłoby nimi można również w celi, ale obawiam się, że tam publika byłaby zdecydowanie mało zainteresowana podobnymi wywodami. Wtedy jednak o tym z pewnością nie pomyślałam.

Ostrożnie ominęłam ciało, wyszłam z gabinetu i skierowałam się ku drzwiom. W głowie załęgła mi się myśl, że mogłabym siedzieć cicho, udając, że nic się nie stało albo że w środku nikogo nie ma. Ale w ten sposób zachowałby się ktoś, kto poczuwa się do winy. Ktoś, kto się boi i jest gotowy

przez całe życie uciekać. A ja już miałam święcie dość wszelkiego uciekania. Przede wszystkim przed samą sobą, ale to temat na jeszcze głębszą analizę. Niech to diabli.

Nie wahając się, przeszłam przez wąski przedpokój i otworzyłam drzwi. Zamek był otwarty, więc wystarczyło nacisnąć klamkę, lecz gość, który mnie naszedł, nie był pacjentem. Właściwie od razu mogłam stwierdzić, że to gliniarz. Wybaczcie mi stygmatyzowanie. Postawny chłop, o gębie kwadratowej jak piekarnik, głęboko osadzonych oczach i czujnym spojrzeniu. Spojrzeniu, które albo zmusza cię do wyznania wszystkich win, albo do zakochania. W sumie wychodzi na jedno.

Facet nie miał munduru, lecz lnianą marynarkę założoną na śnieżnobiałą koszulę, ale legitymacja potwierdziła moje przypuszczenia. Stopień, nazwisko, komisariat. Albo komenda, nigdy nie pojmowałam różnicy. Nie dosłyszałam ani słowa, skupiona na moim coraz mocniej komplikującym się położeniu.

– Dzień dobry, inspektorze... – bąknęłam nieprzytomnie.

– Jestem tylko komisarzem.

Tak, ale jeśli czegoś nie dosłyszałaś i zbierasz myśli, głędzisz od rzeczy. Nawet jeśli cię poprawia, robisz to dalej.

– W filmach goście w pańskim wieku zazwyczaj są inspektorami, komisarze to ci... Przepraszam.

Właśnie. Ten facet nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Wbijanie mu szpili było najgorszym, co mogłam palnąć, ale mniejsza o to.

– Czy mogę wejść?

Chrząknięcie moje i jego. Wymiana spojrzeń, które były tak dwuznaczne jak umywalka w burdelu. No nic. Czasem jest się w dupie tylko po to, by mogło być lepiej. Niektórzy nazywają to pozytywnomyśleniem. Dla mnie to zwykłe bagatelizowanie problemu.

– Doszło do nieszczęśliwego wypadku... – mruknęłam. – Właśnie wzywałam pomoc...

Dwa minusy dają plus, ale w przypadku sum kłamstw tak to chyba nie działa. Zresztą przynajmniej w połowie mówiłam prawdę.

– Ktoś poinformował nas o awanturze. – Gli-niarz bacznie zerknął nad moim ramieniem. – Czy wszystko w porządku?

W tym momencie z czoła spłynęła mi do oka kropla potu. Otarłam je wierzchem dłoni, po czym wzruszyłam ramionami. Gdybym teraz przełknęła ślinę, musiałyby to brzmieć jak beknięcie słonia. O ile słonie w ogóle bekają.

– Tak. Ze mną w porządku.

– Jest tu ktoś jeszcze?

Czy mogłabym powiedzieć, że nikt? Czemu nie? Czy ten gliniarz by mi uwierzył? Nie sądzę. To proste rozumowanie prowadziło do równie prostego wniosku, by nie komplikować.

– On – wybrałam odpowiedź najprostszą z możliwych. – Tam.

Wskazałam głową w głąb lecznicy, w stronę pomieszczenia, gdzie przyjmowałam pacjentów.

– Mogę tam przejść?

Po co w ogóle pytać, skoro i tak się zamierza to zrobić? „Bo wymaga tego kurtuazja”, odparł mój wewnętrzny głos. Jednocześnie pomyślałam, że zawsze, ale to zawsze, ilekroć w moim życiu chodziło o kurtuazję, szykowało się dla mnie całe mnóstwo kłopotów. Zupełnie jakby los podsuwał mi pod nogę stopę gówna nosorożca, ale chciał to wynagrodzić unoszącym się wokół zapachem lawendy. A ja na lawendę mam uczulenie.

– Proszę bardzo. Pójdę przodem.

– To chyba zawał. Myślałam, że pierwszy przyjedzie ambulans.

Prawdę mówiąc, bardziej by się przydał karawan, ale mniejsza. Ambulans to zawsze dobra wymówka. Komisarz był innego zdania, gdyż momentalnie napiął mięśnie i się wyprostował. Jakby na widok trupa wewnętrzny głos kazał mu stanąć

do apelu poległych. Jego dłoń przebrała powietrze obok prawego biodra, gdzie zapewne zazwyczaj nosił kaburę. Ale nie tym razem. Pistolet z jakiegoś powodu miał po drugiej stronie.

Ciekawe, czy poczuł chociaż chwilowy strach? Czy pomyślał, że jestem psychopatką, która mogłaby mu wbić w plecy nóż albo tasak do mięsa? Nie wiem. Ludziom takim jak on ciężko wejść w głowę i czytać w myślach. W każdym razie obrzucił mnie zaskoczonym spojrzeniem. Albo raczej skonsternowanym, to chyba właściwsze słowo. Chwilę później powiódł wzrokiem po całym pomieszczeniu. Widziałam, jak przygląda się prostemu metalowemu biurku, wytartemu fotelowi tapicerowanemu w kwiatowy deseń, wreszcie stolikowi z porysowanym blatem. Każda z tych rys wyglądała, jakby na nim krojono mięso, co mogło przywieść głupie skojarzenia. Prawda była taka, że padało na niego mocne światło, przez co drewno z czasem się rozeschło, a fornir popękał. Prosta i banalna historia.

– Nieszczęśliwy wypadek? – Gliniarz bąknął, powtarzając moją diagnozę sytuacji. A jednak się nie pomyliłam. Chociaż miał stopień komisarza, myślał co najmniej jak inspektor.

Wreszcie, kiedy już sądziłam, że nigdy tego nie zrobi, ruszył w stronę trupa. Ślamazarnie, noga za nogą, jakby odkładając moment zetknięcia się

z materia ą wszechrzeczy, jak niektórzy biolodzy nazywają śmierć. Ci mniej skłonni do eufemizmów mówią oczywiście o trupie lub, jeszcze do-
sadniej, o truchle. W końcu biologicznie człowiek to nadal zwierzę, i nie mieszajmy w to Boga.

– Nieszczęśliwy wypadek – stwierdziłam już znacznie ciszej. Spuściłam wzrok i cicho wypuściłam powietrze.

Zawały, udary, nowotwory... Nieszczęśliwe wypadki nieustannie chodzą po ludziach.

2

Kiedy ludzie mówią o swoich urodzinach, zazwyczaj mają na myśli coś przyjemnego. I przecież nie w tym rzecz, że pamiętają, jak w formie bezzwrotnego prezentu zostali wyrzuceni na świat, ale z jakiegoś powodu ten dzień świętują przez całe życie. Może to kwestia obyczaju, a może zbiorowego szaleństwa, lecz tak jest. Koniec, kropka. Nikogo nie obchodzi, że każde kolejne urodziny to urodziny minus jeden do śmierci. Przepraszam, nie chcę wam psuć humoru. Nic nie poradzę, że myślę właśnie w ten sposób. *Shit happens*. Pozwólcie, że się choć trochę wytłumaczę.

W swoim życiu niespecjalnie miałam okazję do obchodzenia hucznych urodzin. Chrzanić czterowarstwowe torty, przekładane różnymi słodkimi masami, polane rozpuszczoną czekoladą i udekoroowane migdałami. No nie... Nie chrzanić. Dałabym za nie wszystko, ale wiem, że byłoby to kurewsko małostkowe. Wybaczcie. Właśnie przy takich okazjach nie potrafię pohamować słownictwa. Bo jak, do cholery, można odebrać kilkulatce czterowarstwowy tort? To zupełnie niczym odebranie całego dzieciństwa. Proszę bardzo, zabierajcie mi szmaciane lalki, pluszowe misie i gumy do żucia, ale błagam, zwróćcie mi torty! Słodycze do dzisiejszego dnia są jedną z niewielu spraw, które wywołują we mnie emocje. W historii istniały rozmaite kwestie, polskie, żydowskie i tak dalej, a w mojej prywatnej historii liczyła się przede wszystkim kwestia słodyczy. Na tym moglibyśmy zakończyć. Ktoś powiedział, że przez to, że odebrano mi dzieciństwo, pozostałam dziecinna do dzisiaj, i niech mu będzie.

Nie splotajmy jednak wszystkiego do tortu i idiotycznej szpiczastej czapeczki na głowie. Owszem, być może haniebnie ją dewaluuję, bo jej również się nie doczekałam. Nie zaśpiewano mi „Sto lat”, nie wzniesiono gremialnego toastu ani nie zatrąbiono piszczałką. Nic, kicha, sto metrów mułu. Żadnych wuwuzeli.

Jeszcze jakby się człowiek dzięki temu w ogóle nie starzał. Dobrze sobie. Lata leciały, a mnie odbierano kolejne przywileje, jakby rozpakowywano rozpuszczoną galaretkę w czekoladzie. W wieku dziecięciu lat przypominałam raczej cukrowy skwarek oklejony substancją niewiele różniącą się od zawartości pieluchy. Ale o tym pogadamy za chwilę.

Każde odliczanie należy zacząć od zera. No, ewentualnie od jednego, co stanowi tylko pewną modyfikację zagadnienia. Zawsze mnie dziwiło, że czas do startu ulatuje na odwrót.

Trzy, dwa, jeden... Co za kretyn to wymyślił? Nie można się umówić, że ruszamy po prostu na trzy i odliczać jak człowiek, w górę? Albo ten start rakiety, transmitowany swego czasu do znudzenia w telewizji.

Houston, three, two, one... No, totalna abstrakcja. Przecież chodzi o to, że coś się zaczyna, a oczekiwanie to też taki mikrostart. To tak, jakby kolejne dni cięży odliczać aż do poczęcia w dół. Zapłodnienie to miesiąc dziewiąty, a dzień narodzin punkt zero. Siup, wylatujesz na świat, dostajesz klapsa w dupę i wreszcie możesz liczyć w górę. Tylko że przecież właśnie wtedy najłatwiej odejmować oddechy od jakiegoś punktu kulminacji materii wszechrzeczy. Już o tym mówiliśmy, ale...

Tak, wiem, cały ten powyższy wywód to zwykła gra na zwłokę. Zwłoka to przy tym cholernie niepoprawne słowo, bo kojarzy się jednoznacznie źle. Choć mnie zawsze było daleko od poprawności, a liczyła się tylko naga prawda.

Prawda jest zresztą banalna i niewymagająca rozbudowanego komentarza. Moja matka zmarła przy porodzie. Nie ma co tego owijać w bawełnę. Tak samo jak tego, że ponoć była to wyłącznie moja wina i moje pierwsze zabójstwo. Na ten temat nie powiem wam wiele więcej, bo nigdy nie przedstawiono mi szczegółów, a ja w nie nie wnikałam.

Fakt faktem, miałam dobry początek, nie ma co. A potem wcale nie było lepiej.

3

Pierwsze dziewięć czy dziesięć lat życia mogłabym zawrzeć w jednym słowie. Chujnia. Wiem jednak, że to słowo niesie zbyt ubogą warstwę opisową, a wszelkie skróty sprzyjają stygmatyzowaniu, uogólnianiu i krzywdzeniu. Mogłabym to mieć głęboko między pośladkami, ale skoro zdecydowałam się opowiedzieć jakąś historię,

powinnam to zrobić najlepiej, jak umiem. I jasne, wszystko jest kwestią perspektywy. Dla mnie to jedno słowo, chujnia, opisuje rzeczywistość w stu procentach. Ale dla was... Zresztą nie będę wnikała. Obawiam się, że obok mnie mógłby wybić gejzer szamba pełnego *curriculum vitae* jeszcze bardziej przechlapanych niż moje. Nie żebym miała się za wyjątkową, ale wszyscy lubimy mieć nutkę nadziei. Prawda? Albo z drugiej strony...

Może wołałabym wierzyć, że los nie tylko mnie potraktował jak to zaszczane drzewo z ludzkiej dżungli. Słyszeliście tę historię? Nie wiem, czy to bajka, zwykła *urban legend*, czy prawda, ale brzmi wiarygodnie. Ponoć drwale biorący udział w wycinkach wielkich, tysiącletnich drzew w Amazonii wybierają najgrubsze i największe z nich, z którym mieliby najwięcej roboty. Podczas gdy w pocie czoła ścinają wszystkie dokoła, to jedno stoi nietknięte. Przynajmniej nietknięte ostrzem piły spalinowej obracającym się kilkaset razy na sekundę. Zamiast tego przez cały czas kiedy w pobliżu jest rozbite obozowisko, drwale podlewają to jedno drzewo swoim własnym moczem. Traktują je jak wielki naturalny pisuar, który w końcu zaczyna obumierać. Dzięki temu staje się kruche, a kiedy mogą już się zwijać w inne miejsce, by je

**TA HISTORIA UZALEŻNIA JAK MIŁOŚĆ.
ZAKOCHACIE SIĘ W ANTONII NA ZABÓJ. BĘDZIECIE
CHCIELI SPĘDZIĆ Z NIĄ KAŻDĄ WOLNĄ CHWILĘ.**

U stóp Antonii leży trup.

I być może nie ma w tym nic niezwykłego.

Komisarz policji widzi denata na własne oczy, do tego wiele świadczy, że mężczyzna zmarł nietypową śmiercią.

Drzwi były zamknięte od środka, a w pomieszczeniu znajdowały się tylko dwie osoby. On i Antonia...

Antonia nie zamierza owijać w bawełnę. Powie, co się wydarzyło, a mimo to jest pewna, że nie trafi za kratki.

Najpierw jednak zamierza o coś poprosić komisarza. Niech wysłucha jej opowieści. Potem może zrobić, co tylko zapragnie.

Wy również posłuchajcie tej historii. Prośbom Antonii można odmówić tylko raz.

Raz w życiu.

**CZY ANTONIA I JEJ KUZYN SĄ BEZPIECZNI?
W KOŃCU NA WOLNOŚCI NADAL GRASUJE KOSIARZ
– OKRUTNY SERYJNY MORDERCA, POZOSTAWIAJĄCY
NA SWOICH OFIARACH WYJĄTKOWY PODPIS.
PODPIS SZALEŃSTWA.**

cena 47,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilija.pl



FILIA MRO CZNA
STRONA

ISBN 978-83-8357-965-8



9 788383 579658